Janusz Sanocki

Zaplątani we własne nogawki

Na tydzień przed wyborami prezydenckimi Polacy nie wiedzą ani czy wybory się odbędą, ani według jakiej ordynacji wyborczej będą mogli oddać głos. Dzieje się to w państwie, w którym od ponad trzech dekad światli ludzie, różni profesorowie politologii, wybitni publicyści i inne elyty „budują demokrację". Co oznacza to pojęcie w świecie, w którym różne modele ustrojowe są znane, gdzie można było wziąć wzór z blisko 200 państw - skopiować funkcjonalne rozwiązania tak w zakresie władzy ustawodawczej, wykonawczej czy sądowniczej?
Tymczasem – po trzech dekadach „budowania demokracji" - polski ustrój to jakaś dziwaczna hybryda, w której wybierany w powszechnych wyborach prezydent nie ma w istocie żadnej realnej władzy, konstytucja zapewnia trójpodział władzy ale poseł pełniący władzę ustawodawczą może być jednocześnie ministrem, czyli częścią władzy wykonawczej.
Ta sama Konstytucja, zapewnia – w klauzuli suwerenności - że to Naród sprawuje władzę w Rzeczypospolitej – „bezpośrednio albo przez przedstawicieli", a jednocześnie sędziowie (władza sądownicza) wybierają się sami bez udziału obywateli i wszyscy mędrcy – politolodzy, konstytucjonaliści starannie nie zauważają tego naruszenia prawa.
Podobnie jest w sposobie wyłaniania reprezentacji Narodu – Sejmu. Tu Konstytucja zapewnia każdemu obywatelowi takie same prawa, w tym prawo do ubiegania się o mandat posła, ale ustawa Kodeks wyborczy obywatelowi to prawo bezczelnie odbiera. Polak, żeby zostać posłem musi uzyskać aprobatę jakiegoś kacyka partyjnego, zostać wpisany na listę i to na odpowiednio wysokie miejsce, bo inaczej po prostu albo wprost nie może kandydować, albo jego szanse są minimalne. A zatem o tym kto może zostać posłem decyduje kilku partyjnych kacyków, a nie obywatele.
Nie dość, że taki sposób wyłaniania Sejmu jest po prostu podły, zmusza ludzi do lizusostwa, buduje kliki zamiast cywilizowanych, obywatelskich partii, to w rezultacie oddaje w władzę absolutną w ręce kilku partyjnych wodzów. Ci z kolei otaczają się klakierami, ludźmi bez charakteru, zwykłymi karierowiczami co to wodzowi nie podskoczą i takie grupy udają potem polityczne elity kraju.
I znów cała prawie profesorska klika (uzależniona od partyjnych pieniędzy) stara się nie zauważyć naruszenia Konstytucji w tym zakresie, ani broń Boże nie widzieć patologii partyjniactwa polskich tzw. elit politycznych.
Efektem nędzy intelektualnej polskich politycznych „elit" jest m.in. kompromitujący klincz wyborczy przed elekcją prezydenta. Rządząca partia (z Wielkim Strategiem u steru) kompletnie pogubiła się w swoich intrygach.
Najpierw wykorzystując „pandemię" rząd PiS-u ograniczył prawa obywatelskie, zakazał zgromadzeń itd. nie ogłaszając jednocześnie stanu klęski.
Było to korzystne dla urzędującego prezydenta – w istocie bowiem tylko on mógł prowadzić kampanię – co zaraz przełożyło się na sondaże.

Jednak panika wokół wirusa dała z kolei argumenty opozycji – no bo jakże tu organizować wybory, kiedy każdy może się zarazić?
Żeby jakoś z tego wybrnąć rząd rozpaczliwie wymyślił wybory korespondencyjne, które nie dość, że w skali masowej są nie do przeprowadzenia ale też naruszają ewidentnie konstytucyjne warunki tajności i bezpośredniości wyborów. Co to za wybory bezpośrednie, kiedy głos wrzucony przez obywatela do skrzynki, do komisji wyborczej dostarcza listonosz? Jak zachować tajność, kiedy pakiet wyborczych kartek poczta ma dostarczyć do skrzynek pocztowych dla wszystkich domowników?
Jak uniknąć handlu kartkami wyborczymi, jak zapewnić każdemu obywatelowi możliwość oddania głosu?
„Korespondencyjne wybory" dla 30 mln wyborców to pomysł tak technicznie jak konstytucyjnie absurdalny i wybory albo się nie odbędą, albo będą budziły wątpliwości co do legalności wyniku.
Polska „klasa polityczna" pokazała swój poziom. Ale też nie ma się czemu dziwić, pamiętając, że warunkami kooptacji członków tej grupy są: lizusostwo, konformizm i redukcja myślenia do poziomu „kurzego rozumku" gdzie zadaniem mieszkańca kurnika jest gdakać pod dyktando partyjnego dyrygenta.